

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Wieś nad Lutynią

Koryta leżą nad Lutynią, opasującą wioskę strugą tak wąską, że z powodzeniem może ją przeskoczyć każde dziecko. Nieraz urządzaliśmy takie skoki w oczekiwaniu na prąże się w ogniu ziemniaki. Było to jednak bardzo dawno temu i chociaż Lutynia nie zmieniła przez ten czas swego biegu — dzieci korycie nie cenią już sobie harców na nadlutyńskich łąkach. Wolą — uporawszy się z lekcjami — pójść do oddalonej o dwa kilometry Trzebowej na telewizję lub wyskoczyć motocyklem albo rowerem do Koźminca, „na film”. To nawet niedaleko. Jakież 9 kilometrów. Koryta przylegają bowiem do szosy, wiodącej z Koźminca do Ostrowa. Można jednak też do wsi trafić drogą, przecinającą szosę pleszewską — lasem przez Karmin i Karminę — gdyż tkwi ona na skrzyżowaniu trzech powiatów. Kiedyś należała do krotoszyńskiego, dziś do ostrowskiego. Ale powiat pleszewski mógłby się też z powodzeniem o nią upomnieć, bo do Pleszewa chyba z Koryt najbliżiej.

O sprawie przynależności powiatowej mówi się w Korytach często. Przestrzeń stała się tu wartością wymienną. Zbliżyła przecież lub oddalała władzę. Przed wojną sprawa ta nie grała roli. Władza była na miejscu: od decyzji radcy pana hrabiego można było szukać odwołania jedynie w małym kościółku przy ołtarzu św. Antoniego. Toteż petentów miał święty wielu, coraz więcej, przy czym — jak mówiono — twarz jego smutniała i smutniała od tych ciągłych interwencji.

Ojciec mój należał też do wierzących. Wprawdzie we władzę świętego trochę wątpił, wierzył jednak w praworządność władzy warszawskiej. Pamiętam, gdzieś w roku 1935

(Dokończenie na str. 2)

ANNA SIEKIERKA

Lepiej przed niż po

W Poznaniu odbywa się sporo narad, konferencji i posiedzeń, poświęconych omówieniu perspektywy rozwoju miasta. Nad wieloma sprawami trwają długie dyskusje, zanim podejmie się ważną decyzję, dotyczącą lokalizacji, czy budowy, nowego obiektu.

To, że wszystkim planowanym inwestycjom poświęca się wiele uwagi, jest na pewno zjawiskiem dodatnim. Natomiast niepokoi fakt, że najczęściej dopiero w czasie realizacji jakiegoś obiektu, lub po jego całkowitym wykończeniu, podnosi się fala głosów krytyki a nawet protestów. Zdarza się, że ci, którzy nie wypowiedzieli się przed zapadnięciem decyzji w sprawie takiej lub innej inwestycji, zabierają głos — i to najczęściej krytycznie — po oddaniu jej do użytku. W rezultacie prawie każdy nowo powstały obiekt miejski spotyka się z krytyką niektórych specjalistów, radnych itp. — słowem osób odpowiedzialnych za prawidłową rozbudowę Poznania.

Pamiętam, jaka burza protestów podniosła się po wybudowaniu poznańskiego „Pedetu”. Nie szczędzono krytyki pod adresem tych, którzy zdecydowali o postawieniu takiego gmachu. Zanim jednak położono pierwszą cegłę pod fundamenty „okrągłą”, zaledwie nieliczna garstka fachowców odważyła się wyrazić odmienne zdanie, między innymi przeciw samej lokalizacji obiektu. Podobną sytuację notowaliśmy po przebudowaniu placu przed Dworcem Autobusowym. I w tym przypadku dopiero po zakończeniu robót twierdzono, że skrzyżowania nie rozwiązano należycie. Teraz z kolei po przebudowie Mostu Dworcowego — również część fachowców

i radnych wyraża pogląd, że niewiele poprawił na warunki komunikacyjne w tej części miasta. Stwierdza się ponadto, że za prawie taką samą kwotę, którą wydano na przebudowę, można było wybudować z gruntu nowy most o lekkiej konstrukcji.

Na podstawie przytoczonych przykładów można by przypuszczać, że w Poznaniu buduje się na zasadzie — „sobie a muzom”. Tak oczywiście nie jest, bowiem każda inwestycja zanim przejdzie w stadium realizacji, wielokrotnie staje się przedmiotem długich dyskusji. Mimo to, wydaje się, że dyskusje bywają po prostu niepełne, bo — może nawet odbywają się nie raz w zbyt wąskim gronie. W rezultacie o zamierzeniach inwestycyjnych wie stosunkowo mało osób, nierzadko pomija się zasięgnięcia rady fachowców.

Dużo zastrzeżeń nasuwa również samo przygotowanie kosztorysów na projektowane obiekty. W tym sęk, że w większości przypadków dopiero w trakcie realizacji wychodzą na jaw liczne braki i usterki dokumentacyjne. Wszystkie zaś zmiany powodują wzrost kosztów budowy. Czasem jednak powstaje i odwrotna sytuacja.

Przy rozpoczęciu na przykład budowy nowego ujęcia wody oraz trasy Chwaliszewskiej, znalezione możliwości poczynienia pewnych zmian w dokumentacji. Poprawki te pozwoliły pociągnąć do wykonania wiele pieniędzy. To bardzo dobrze. Lecz i ten fakt nasuwa pytanie — dlaczego takiej możliwości nie zauważono przed akceptacją projektów?

ZYGMUNT SAWICKI

WSZYSTYCH PRODUKUJĄ DLA WSZYSTKICH

Są dwa sposoby urozmaicenia i zwiększenia dostaw towarów przeznaczonych na rynek. Pierwszy, to rozwój produkcji własnego przemysłu wszystkich branż wytwarzających towary konsumpcyjne od artykułów żywnościowych poczynając, na telewizorach, motocyklach i samochodach skończywszy.

Sposób drugi — to importowanie z zagranicy potrzebnych, czy poszukiwanych na rynku towarów. W praktyce życia codziennego kojarzy się z reguły obydwie metody.

Sprawa proporcji

W jakiej więc mierze opierać obroty rynku krajowego na własnej wytwórczości, a w jakiej na wyrobach importowanych? Praktyka bywa tu różna. Na ogół zależy od zasobności danego kraju i jego dewizowych zasobów. Im się jest bogatszym tym więcej środków można przeznaczyć na zaspokajanie nie tylko potrzeb, ale nawet zachcianek konsumentów przez zwiększanie importu szerokiego wachlarza towarów.

Gdy jednak jakiś kraj do zbyt zażożnych się nie zalicza, a do tego z zasobami dewizowymi też jest trochę kruch — wówczas pozostaje jedno tylko wyjście. Głównym dostawcą towarów na rynek staje się przemysł krajowy. Wyroby importowane nabierają cech przysłówowych rodzynek w cieście.

Każdy z nas mógł bez trudu zorientować się na przykład, że w ciągu ostatnich lat w naszych sklepach, w zaopatrzeniu rynkowym dominowały wyroby krajowe. Importowane były tylko towary niezbędne, lub takie, od których nabycia uzależnione były inne transakcje o poważniejszym znaczeniu.

Ilościowe dostawy tzw. masy towarowej na rynek rosły wyraźnie. Jednak różnorodność asortymentów, gatunków, rodzajów pozostawała bez większych zmian.

Jest sposób

Co więc robić, aby ożywić obroty, w szczególności obroty artykułami przemysłowymi między krajami socjalistycznymi?

Ostatnio rysują się bardzo ponętne perspektywy w tym właśnie zakresie. Dotychczas mieliśmy tu do czynienia tylko z tradycyjnym handlem. A nawyki tradycyjnego handlu zagranicznego nie ułatwiała zwiększania wymiany towarów służących do zaspokajania potrzeb rynkowych. Aparat tego handlu pracował bowiem od wielu lat i pracuje

zresztą dzisiaj pod silną presją potrzeb inwestycyjnych gospodarki narodowej. Zarówno u nas jak i u sąsiadów.

Stąd idea rozszerzenia samych zasad wymiany artykułów rynkowych. Tu kilka przykładów. Chociażby

Wymiana artykułów rynkowych między krajami RWPG

tekstylia. Nasz przemysł może produkować, powiedzmy, kilkadziesiąt gatunków i wzorów tkanin, ale nie może w nieskończoność zwiększać asortymentowej palety. Obowiązuje przecież jakiś rachunek opłacalnej długości serii. Nie można zbyt często przedstawiać maszyn, zmieniać technologii wytwarzania. Gdyby jednak nasze tekstylia produkowane nawet w dłuższych, opłacalniejszych seriach trafiały w ramach szerokiej wymiany na rynki naszych sąsiadów, a z kolei różnorodna gama tkanin węgierskich, radzieckich, czechosłowackich, bułgarskich lub rumuńskich, wzbogacała nasz rynek, to bez większych inwestycji, bez modernizacji, bez ciągłego przedstawiania fabryk, wszyscy biorący udział w tej szerokiej wymianie wzbogaciliby zaopatrzenie swoich rynków w tkaniny. Nie chodzi tu o ilość, a przede wszystkim

o bogactwo wzorów, kolorów, gatunków, rodzajów. Podobnie rzecz się przedstawia w konfekcji. Podobnie w obuwu. W sętkach artykułów codziennego użytku, a także trwałej konsumpcji.

Zamiast kilku typów lodówek, pralek, kilkanaście do wyboru. Zamiast dwudziestu modeli radioodbiorników, i to w większości podobnych do siebie — kilkadziesiąt różnorodnych typów pochodzących z szerokiej wymiany między pięcioma, sześcioma krajami. Przy tym ogniu szerokiej wymiany można by upiec dwie pieczenie. Z jednej strony ożywić asortymentowo zaopatrzenie rynku, wzbudzić zainteresowanie klientów, zwiększyć więc obroty, a z drugiej strony — przybliżyć do siebie producentów wyrobów rynkowych krajów naszego obozu.

Mogłoby to doprowadzić do unifikacji wielu detali, elementów, szczególnie w sprzęcie elektrotechnicznym i różnych mechanicznych urządzeniach. Stać by się mogło podstawą do nawiązania ściślejszych powiązań specjalizacyjnej i kooperacyjnej natury.

Oczywiście realizacja takiej szerokiej wymiany nie jest sprawą prostą. Wymaga i czasu i wysiłku. Wysiłku zarówno aparatu handlu zagranicznego, jak i producentów wyrobów rynkowych.

Każdy wytwórca będzie bowiem musiał np. jak najprędzej zapamiętać o podziale na dwa rodzaje produkcji. Jednej dobrej, starannej, na eksport, i drugiej, klepanej pod hasłem byle więcej i byle jak — na kraj. W szerokiej wymianie mogą brać udział wyroby po prostu dobre, mogące się podobać nabywcy w każdym kraju.

Zegzaminem lecz inaczej

Mówią — dr J. Stoiński i mgr F. Krajewski

Opublikowany w „Głosie” artykuł dyskusyjny Jana Sośnickiego pt. „Droga na studia — z egzaminem czy bez?” wzbudził duże zainteresowanie o czym świadczy napływające (częściowo już ogłoszone) wypowiedzi na temat sensu utrzymywania egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie. Także w Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego zainteresowano się tym problemem. Poniżej zamieszczamy wywiad z kuratorem OSP dr. Janem Stoińskim oraz pełnomocnikiem Ministra Szkolnictwa Wyższego do spraw rekrutacji na wyższe studia w woj. poznańskim i woj. zielonogórskim mgr. Franciszkiem Krajewskim. Obaj nasi rozmówcy byli zgodni co do tego, że egzaminy wstępne w obecnej

formie budzą pewne zastrzeżenia. Powstaje więc pytanie: w jakim kierunku szukać rozwiązań lepszych?

— Jakże widzieliby Panowie rozwiązania idealne?

— Rozumując teoretycznie — odpowiedział dr Stoiński — trzeba by stwierdzić, że egzaminy wstępne, przeprowadzane tuż po maturze są w ogóle zbędne, bowiem po co uczeń ma zdawać dwa razy w krótkim czasie tak poważne, a podobne egzaminy. Najlepiej byłoby przyjąć wszystkich chętnych, na I roku studiów wykladać jedynie przedmioty podstawowe i w ciągu tego roku wyłowić najlepszych kandydatów do dalszych studiów. Ten okres eliminacji mógłby nawet trwać krócej niż rok, na przykład kwartał, ale niestety takiego rozwiązania nie da się po prostu zrealizować z powodu braku miejsc w domach studenckich i w salach wykładowych.

Drugi teoretyczny wariant widziałbym — kontynuował dr Stoiński — w zachowaniu egzaminów wstępnych, lecz gruntownie zreformowanych. Chodzi mi o to, by ten egzamin nie był nastawiony na egzekwowanie szczegółowych wiadomości, gdyż to z rozmaitych powodów zawodzi (tęma, brak swady, obicia, strach, tak zwany „zły dzień”). Podczas egzaminu należałoby szukać i wydobywać z kandydata ogólną jedynie orientację w przedmiocie zdawanym, a przede wszystkim jednak jego inteligencję, zamiłowania, przyczyny wyboru takiego a nie innego kierunku studiów itp. Do tego jednak potrzebny byłby specjalny skład komisji egzaminacyjnej, w której widziałbym samodzielnych pracowników naukowych (profesora danego przedmiotu, psychologa, pedagoga, socjologa). Nie byłibyśmy zaś w stanie utworzyć w takim składzie tyle komisji egzaminacyjnych, ile jest potrzebnych.

Najbardziej więc realna wydaje mi się w obecnych warunkach zmiana formy egzaminów wstępnych, które są jeszcze i będą zapewne przez szereg lat niezbędnym instrumentem selekcji kandydatów na studia. Niektórzy profesorowie na własną rękę próbują tę formę egzaminów zmieniać i rezygnując z prostego egzekwowania wiadomości przekształcają egzamin w rozmowę na temat kierunku studiów, zamiłowań, by poznać poziom intelektualny kandydata. Są to jednak jedynie pojedyncze próby.

— A jaki jest Pański pogląd na temat reformy egzaminów wstępnych? — zwraca się do mgr. Krajewskiego.

— Najważniejsze jest zwołanie psychologicznej egzaminacyjnej, i to zarówno przy maturze jak i egzaminie wstępnym. Różne typy psychologiczne różnie reagują na ten nieprzyjemny przypadek życiowy, jakim jest zawsze egzamin. Nikt bo-

wiem nie lubi kontroli swojej pracy. Jeśli egzaminator potęguje stan lękowy to jest największe zło. Dyskusja na temat zmian egzaminów wstępnych powinna więc szczególnie dotyczyć tego, jak odbywać egzamin, by umożliwić kandydatowi pełne wykazanie się wiadomościami i inteligencją. Wiele błędów popełnia się z braku znajomości specyfiki i odrębności egzaminu dojrzałości i egzaminu wstępnego.

— Więc proszę te odrębności przypomnieć.

— Matura jest trudniejsza. Zdaje się ją z dwóch grup przedmiotów, humanistycznych i matematycznych, a zainteresowania rzadko są tak wszechstronne u jednego osobnika. Ponadto zdaje się aż z 5 przedmiotów. Plusem matury jest fakt zdawania w swoim środowisku, w swojej grupie rówieśniczej i przed komisją, którą się zna od lat.

Egzamin wstępny jest łatwiejszy o tyle, że zdaje się go tylko z 2 i to ulubionych przedmiotów. Natomiast to, że trzeba zdawać w obcym środowisku, przed obcą komisją, w innej — konkurencyjnej! — grupie rówieśniczej sprawia, że jest to egzamin bardzo nerwowy.

— Jakże więc z tego wnioski dla egzaminów wstępnych?

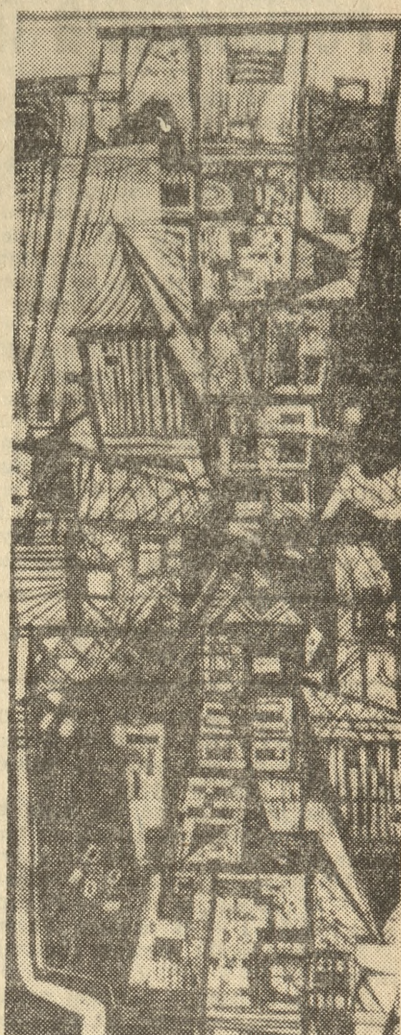
— Jeśli z konieczności (przepustowość uczelni, sprawy bytowe itp.) utrzymujemy te egzaminy powinniśmy przestrzegać przy nich następujących zasad: po pierwsze — z uwagi na czynniki natury psychologicznej (inne środowisko) należałoby oswoić kandydata z atmosferą uczelni, stworzyć pogodną, życzliwą warunki sprzyjające temu, by autorzy egzaminu i obecność profesorów nie wywoływały psychologicznej egzaminacyjnej; po drugie — egzamin nie powinien mieć charakteru kontroli wiedzy ucznia, wiedzy encyklopedycznej, tego ile on wie. Nie wolno na egzaminie wyolbrzymiać wartości szczegółów danego przedmiotu, natomiast rozmowa z kandydatem powinna mieć możliwie szeroki zakres; po trzecie — przy egzaminach wstępnych powinniśmy pytać doświadczeni pod względem pedagogicznym i dydaktycznym, samodzielni pracownicy nauki.

Aby zaś wyrównać dysproporcje w obsadzie poszczególnych kierunków studiów, należałoby w szkole średniej pogłębić pracę uświadamiającą maturzystom do czego się najbardziej nadają oraz pracę wyjaśniającą czym są kierunki deficytowe i nadmiarowe, aby doprowadzić do pożądanego zmiany decyzji.

— Z tego właśnie — dodał kurator Jan Stoiński — wynika konieczność zacieśnienia współpracy między szkołą wyższą i średnią, jako ważne zadanie. Taka współpraca w Poznaniu istnieje, zwłaszcza od dwóch lat, a na nowe tory wejście w nowym roku szkolnym, co do czego mamy już interesujące plany.

Notował:
MIECZYSLAW KAPSKI

„Kompozycja”



Linoryt

Zygmunt Miszczyk

Feminizacja nauczycielstwa?

Licea pedagogiczne od dłuższego czasu nie znajdują uznania u chłopców-absolwentów szkół podstawowych, wola oni uczęszczać do różnego rodzaju techników i zasadniczych szkół zawodowych. Wzrastają oni przeciw w klimacie postępu technicznego, więc ubóstwiają technikę no i chcą jak najszybciej zdobyć konkretny i dobrze płatny zawód.

Zanim omówimy stan uczniowski według pici w liceach pedagogicznych, rozejrzyjmy się po obecnych kadrach nauczycielskich. Już teraz uczy większość kobiet. Dla przykładu: w powiecie średzkim przewaga nauczycielek nad nauczycielami wynosi 3:2. Liceum Pedagogiczne w Krotoszynie w r. 1959 opuściło 47 nauczycie-

Z nowych problemów naszej codzienności

lek i 17 nauczycieli, w r. 1960 — 34 nauczycielki i 21 nauczycieli. W tym roku maturę składało: 22 absolwentki i 7 absolwentów.

A jak przedstawiać się będą tu dane w najbliższych latach w tym liceum? Obecnie 25 procent uczniów kl. IV stanowią chłopcy, w klasie III — 50 procent, w kl. II — 30 procent i w kl. I — 40 procent. Razem 36,5 procent ogółu uczniów stanowią chłopcy.

Różnice te jeszcze bardziej pogłębia się za pięć — sześć lat. Do szkół nauczycielskich bowiem wybiera się z powiatu jarocińskiego 26 absolwentek i 8 absolwentów szkół podstawowych, z powiatu kępińskiego — 7 absolwentek i 1 absolwent, z powiatu ostrowskiego — 9 absolwentek i 2 absolwentów z powiatu krotoszyńskiego — 51 absolwentek i 16 absolwentów, a z pleszewskiego — 12 absolwentek i 3 absolwentów.

Rozmowa z hr. Aleksandrem Fredro

Z okazji 170 rocznicy urodzin, przypadającej 20 czerwca, nasz przedstawiciel odbył krótką, acz nie pozbawioną emocji rozmowę z polskim Molierem, twórcą narodowej komedii, hr. Aleksandrem Fredro. Oto jej fragmenty:

— Mistrzu, pańskie nazwisko do dziś nieprzerwanie figuruje na afiszach teatralnych. Pańskie sztuki są żelazną pozycją szkolnych lektur...

— No, no... Nigdy mi się nad książką nie marszczyło czoło, trąbka myśliwska w kniei były moją szkołą. Jeśli czytałem, to romanse...

— Ale za to pozostawił pan budującą rozprawę „Rzut oka na teraźniejsze wychowanie młodzieży”...

— A, bo zeżliły mnie skutki powierzenia dzieci obcym guwernerom, ludziom bez zielonego pojęcia o pedagogice. Odczułem to na własnej skórze.

— Czy może nam pan zdradzić kiedy przyszło właściwe powołanie?

— Skoro przeszedłszy jako oficer wojsk napoleońskich całą kampanię, znalazłem się w 1814 r. w Paryżu. Temu miastu winien jestem poznanie teatru francuskiego, który zrobił na mnie nieopisane wrażenie... Lwów bowiem nie miał wtedy stałej sceny polskiej. Tragedia francuska, lubo szczyła się wówczas krokiem tragików Talma, znalazła mnie prawie obojętnym widzem. Przesadna deklamacja, ruchy konwencjonalne... Przeciwnie, wodewil, komedia, wprawiała mnie w zachwycenie...

— No i w rok później napisał pan „Intrygę na przedce”, którą wystawił we Lwowie J. N. Kamiński...

— Przerobiłem ją potem na „Nowego don Kichota”, bo słabutką mi się widział. Za pierwszą sztukę uznałbym przeto „Pana Geldhaba”. Premiera w Warszawie była jesienią 1821 r. Odtąd już dzieliłem czas między gospodarzenie i pisanie. W krótkich odstępach powstały: „Cudzoziemszczyzna”, „Zręczność i przekora”, „Maż i żona”.

— A propos: ta ostatnia sztuka osnuta na tle małżeńskiego wielokąta wywołała sporo szumu jeszcze za pańskiego życia, podkreślano znakomitość konstrukcji, ale ganiło swawolność...

— Właśnie, właśnie. I gdy tylko umarłem, zaczęto ją drukować z drugą wersją zakończenia, niby bardziej umoralniającą. Dopiero Boy wyciągnął to na światło dzienne. Ten człowiek świetnie mnie rozumie! Lepiej niż plejada szanownych historyków literatury. Nigdy mu nie zapomnę, jak brał mnie w obronę pisząc: Nie fałszujcie nam Fredry! Zaiste, uroczyste celebrowanie moich sztuk w niektórych teatrach jest nie do zniesienia. Po co ta pompa, te koturny?

Procent zgłaszającej się młodzieży męskiej wynosi 22, a żeńskiej 78. Podobnie przedstawiają się zgłoszenia w innych powiatach. Zapowiada to dalszą feminizację kadr nauczycielskich.

Nie występuję tu przeciwko obie-raniu sobie zawodu nauczycielskiego przez dziewczęta. Mają ku temu pełne prawo. Ale wydaje mi się, że nie można nie dostrzegać konsekwencji obiektywnych, które za sobą niesie przewaga kobiet w tym zawodzie. Rozmowy przeprowadzone na ten temat z inspektoratami szkolnymi i kierownikami szkół, których żony także uczą (a więc nie można ich posądzać o antyfeminizm!), wykazały, że:

▲ niełatwo nauczycielkom w przeciwieństwie do nauczycieli pokonywać takie trudności, jak dojeżdżanie do szkoły, bo w wielu miejscowościach brak mieszkań. To młode nauczycielki zniechęca, niektóre z tego powodu po maturze nie podejmują w ogóle pracy w wyuczonym zawodzie;

▲ młoda nauczycielka pragnie wcześniej czy później założyć własne ognisko. Najchętniej małżeństwa by zawierały z nauczycielami, co — kiedy ich brak. Wychodzą więc za inteligentów, pracujących na wsi, i tu — ze względu na lepszą ich sytuację materialną — porzucają swój zawód, by oddać się pracy domowej. A jeśli nie ma tych młodych inteligentów — młoda nauczycielka wychodzi za młodego rolnika. Wówczas — zainteresowania szkolne schodzą na dalszy plan, gospodarstwo rolne zajmuje czas i siły. Powstają więc w jednej osobie konflikty: nauczycielki z gospodynią domową, nauczycielki-żony z rolnikiem-mężem na tle wartościowania, patrzenia na życie itd. Przykładów tego rodzaju konfliktów dostarcza prawie każdy powiat. Problem ten porusza w swojej ostatniej powieści Bogusław Ko-

— Mistrzu, skoro weszliśmy na problem polemiczny: proszę nam wyjaśnić dlaczego będąc u szczytu sławy i sił twórczych — przecież w latach 1832—1835 powstały czołowe pańskie dzieła, „Pan Jowialski”, „Słuby panięskie”, „Zemsta” i „Dożywocie”, zламаł pan pióro?

— Bo naraziłem się niebacznie Goszczyńskiemu i innym zwolennikom romantycznej awangardy. Tak, tak, nic nowego pod słońcem... Pisać no gazetach, że mój wiersz gładki jest to wymanierowanie języka trybem francuskim, co nie wszyscy mogą być awangardowi, zarzucono niemoralność i poziomność uczuć, wreszcie... nienarodowość! Dość tego rzekłem i postanowiłem pisać do szuflady, a to co się w niej nazbiera, poleciłem wydać dopiero po śmierci. Za to rozpocząłem działalność obywatelską, by choć tak memu narodowi służyć. Współpracowałem przy ułożeniu adresu o zniesieniu pańszczyzny, napisałem „Uwagi o stanie socjalnym Galicji”, w 1848 roku byłem w deputacji żądających swobód konstytucyjnych...

— Wiemy, że miał pan z tego powodu sporo przykrości. Tym bardziej, że pański syn walczył w powstaniu węgierskim...

— Moja krew! Ha, ha...

— Ale przecież czekał się pan za doświadczenia. Proszono, ba, błagano o nowe sztuki. M. in. sam Kraszewski. A w rok po pańskiej śmierci wielki Stanisław Tarnowski na wykładach mówił o panu: W naszej literaturze będzie on zawsze liczył się do wielkich. Wzbogacił ją całą jedną gałęzią, dał jej komedie własną, narodową...

— Ech, nie znoszę patosu...

— Zatem parę słów z innej beczki: Najpamiętniejsza chwila w pańskim życiu?

— Gdy w bitwie, bodaj pod Lipkiem ubito podo mną konia. Myślałem, że się nie wydobędę z tej opresji...

— A najmilsza?

— Gdy po wielu latach trudnych zabiegów, mojej przyszłej żonie daćno rozwód z hr. Skarbkiem. Wy dziś narzekacie na kodeksy rodzinne, ale wtedy, daleko gorzej było. Poznaliśmy się w 1815, ślub był dopiero w 1828! Już się chciałem z życiem pożegnać...

— Mistrzu pan? Przecież według relacji w swoim czasie „nie można się było nigdzie obrócić, żeby się na Fredrę nie natknąć”. A pewnych wierszyków pańskich nawet Boy krepuje się cytować.

— E, to było tak dawno...

— Mistrzu, pytanie ostatnie: Czy miałby pan ochotę coś przekomponować, zmoderować w którejś ze swych sztuk?

— Zmieniłbym dwuwiersz z „Zemsty”, który mógłby brzmieć: „Jeśli nie chcesz mojej zguby kilo cytryn daj mi luby”.

pół żartem, pół serio notowała

IRENA SOLIŃSKA

gut: „Kłusownicy i naganiacze” (LSW);

▲ nauczycielki są potrzebne szczególnie dla klas niższych, tutaj dają sobie radę z niełatwym do opanowania żywiołem dziecięcym, buntującym się przeciwko rygorowi, jaki nakłada szkoła. Dają sobie lepiej radę niż mężczyźni w nauczaniu niektórych przedmiotów w klasach wyższych szkoły podstawowej. Ujmują dzieci serdecznością, matczyną o nie troską. Ale nauczyciel za to jest autorytetem siły, imponuje nią, łatwiej mu opanować klasy wyższe, wyrobić posłuch, co z kolei nauczyciele ułatwia naukę.

I dlatego — moim zdaniem — należałoby w liceach pedagogicznych wprowadzić równowagę liczbową pomiędzy uczniami i uczennicami. Przede wszystkim konieczny jest większy werbunek chłopców do tych szkół.

W tegorocznym tak zwanym „naborze” nie da się już wiele zrobić. Sprawa czeka na naprawę w latach następnych i na jak najwcześniejsze przemyslenie.

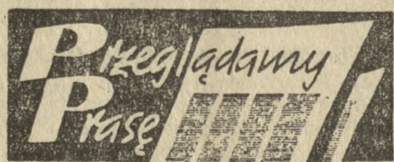
Wieś nad Lutynią

(Dokończenie ze str. 1)

wysłał petycję do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie spłacenia ludziom koryckim i bugajskim dwuletnich zaległości za ciężką pracę na pańskim. Odpowiedzi się nie doczekał, ale w tym samym czasie rzadca pana hrabiego dokwaterował na małą izdebkę, zamieszkałą przez naszych krewnych — wdowę z Bugaju. Tym samym dalsze szanse spędzania wakacji w Korytach się skończyły.

Tyle lat upłynęło od tamtych dni, a ile razy zawadzę w swych wędrownkach o nadlutyńskie wioski — wszystko znów staje się żywe.

Moi koryccy przyjaciele nie lubią jednak mówić o tamtych czasach. Chyba kiedyś przy świecie. W zwykajny dzień mają pełne ręce roboty i wiele — wprawdzie innych niż dawniej, niemniej równie dziś ważnych — spraw do załatwienia. Chociażby ta remiza strażacka, co ją budują w Ligocie dla całej gromady. Ma tam znaleźć pomieszczenie stałe kino wiejskie. Tylko, że budowa trwa i trwa, już przeszło dwa lata. I to nie z winy budujących. Całą robociznę dają mieszkańcy gromady za darmo — w czynnie społecznym. Obiekt już jest pod dachem, jednak by faktycznie został uznany, jako istniejący w czasie i przestrzeni, potrzeba coraz to innych zaświadczeń, zezwoleń i ciągłego jeżdżenia po te właśnie papierki do Prezydium PRN w Ostrowie. Przecież to budowę tak potrzebną w gromadzie obiektu i mocno irytuje mieszkańców Koryt, Bugaju i okolicy.



DWUGŁOS O MTP

Tadeusz Sopociński w korespondencji z tegorocznym Międzynarodowym Targów Poznańskich stwierdza na łamach „Tygodnika Demokratycznego”:

„W czasie kilku dni pobytu na MTP przekonałem się, że polskie ekspozyty tych działów przemysłowych (kompletne obiekty przemysłowe, przemysł maszyn i aparatów elektrycznych, elektronika, aparatura pomiarowa, przemysł włókienniczy — dop. lekt.) w niczym nie odbiegają od wzorów zagranicznych; przeciwnie nieraz je przewyższają. Nie mówię już o tak renomowanych czysto polskich artykułach, jak wyśmienite produkty rolnospożywcze itp... Zresztą miarą uznania są dziesiątki transakcji, jakie zawarliśmy, transakcji eksportowych idących w miliony złotych dewizowych. Warte jest podkreślenia, że znaczna część transakcji dotyczy rynków zachodnich i zamorskich.”

W obszernym artykule pt. „Poznań i Świat” Mirosław Dynar („Życie Gospodarcze”) przedstawia MTP jako barometr zmian w handlu światowym. Przy okazji zwraca uwagę na niebłahe, a chyba niezamierzone kontrasty na terenach targowych:

„A oto obrazki na potwierdzenie. „Tasko” na bocznicę kolejowej obok hali nr 1 pokazuje starannie wypiegnowane wagony kolejowe, lokomotywy elektryczne. Lakier lśni nowością. Ale tuż przed wagonami zwrotnica. Stan straszny, pogięta, poziom techniczny — chyba jeszcze z lat międzywojennych. Niedaleko głównego wejścia do wagonu restauracyjnego „Wars-u” przyczepiony wagon,

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Worek obfitości

Dosyć chwilami smętnawo było z nowościami na majowych kiermaszach. Widocznie coś „nie nadążało”, skoro dopiero obecnie zaczynają się sypać wcale obficie arcydzieła nowości. Rzecz jasna, lepiej późno, niż wcale...

W tym roku mamy szczęście do Tomasza Manna. Niedawno otrzymaliśmy tom jego opowiadań w „Bibliotece Powszechnej”, a o to już PIW uraczył nas nowym zbiorem. „Opowiadania” tym razem przynoszą czternaście utworów, po raz pierwszy przełożonych na polski, pochodzących z najwcześniejszego dorobku znakomitego pisarza, pisanych przez autora w wieku lat 19 do 26. Jakbyśmy jeszcze raz odkrywali Tomasza Manna w tych arcydoskonałych studiach psychologicznych o

Jeszcze kilka lat temu Koryta nie miały pretensji do własnego kina. Długo, bardzo długo nie chciało uwierzyć, że można wyjść z utartych kolein sennej vegetacji. Przedwojenny głód chleba zastąpił sytością dnia powszedniego — i to im starczyło. Jak dawniej uprawiali żyto i ziemniaki, bo od dziesiątek lat nic innego nie udawało się na tej niebogatej ziemi. Młodzi jednak chcieli żyć inaczej. Potwierdzenie swych domniemań znaleźli na wykładach zimowej — wieczorowej szkoły rolniczej w Ligocie. Przyniesli pomoc młodym agronomom z Prezydium GRN. Dyskusje z domów przeniosły się na zebrania Kółka Rolniczego.

Od trzech lat kontraktuje się w Korytach i całej gromadzie len, uprawia z dużym powodzeniem specjalnie hodowaną dla tych warunków glebowych pszenicę. Te zmiany zbiegły się z elektryfikacją wsi. Koryta przeżyły swą maleńką rewolucję. Jej skutki, to coraz więcej czytelników biblioteki gromadzkiej i coraz więcej młodzieży koryckiej w szkołach średnich i zawodowych Ostrowa i Pleszewa. Młody agronom — Stanisław Koczura, który łąda dzień wprowadzi się do nowo zbudowanej agronomówki, znajdzie w tej młodzieży trwałego sojusznika. Już zresztą snują plany dalszych zmian. Dotyczy one nawet sennie płynącej Lutyni, która ma zasilic wodą okolice łąki.

Zmienia się obraz codziennych dni wioski mojego dzieciństwa. Tylko twarz świętego Antoniego w koryckim kościółku jest taka sama, jak przed dziesiątkami lat. Chociaż tamtejsi mieszkańcy twierdzą, że inna. Pogodniejsza.

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

bogatym podłożu dramatycznym, niezwykle trafnie ukazujących różnorodność ludzkich postaw życiowych i konsekwencji wynikających z dokonanego wyboru.

Innego rodzaju rarytasem stanie się wydany przez „Czytelnik” w serii Nike, „Dziennik” Katherine Mansfield. Są to szczere, nie przeznaczone do druku zapiski wybitnej nowelistki angielskiej, opublikowane dopiero po jej śmierci przez męża. Są doskonałym wejściem w osobowość autorki, w jej stosunek do świata i jego spraw. Zaciekawiają zwłaszcza w tych partiach, gdzie K. Mansfield wypowiada swoje poglądy na temat literatury i jej funkcji. „Dziennik” zaskakuje rozległą wiedzą i jakąś wysublimowaną znajomością życia.

A teraz nowość PAXu, zawiadająca jak zawsze i jak zawsze pasjonująca Stanisław Mackiewicz w tomie „Herezje i prawdy”, zawierającym szkice z okresu Średniowiecza. Autor, ze swadą polemizującą, z ciekawymi, choć często bardzo oryginalnymi poglądami na wydarzenia i postaci Historii, usiłuje wywrócić w nas niejedno w ustalonym już wizerunku Średniowiecza. Dosadnymi, mocnymi określeniami wyznacza po-

Z KSIĄŻKĄ NA TY

staciom sceny historycznej własne swe miejsca, klóci się z historykami, wypowiada zdanie o pisarzach, o monarchach, politykach, wszystko zaś ubarwia soczystą, jedrzną anegdotą, znajomością mnóstwa szczegółów, od alchymicznych po najciszej polityczne — a na dodatek pisze to tak sugestywnie, że często podlega się urokowi wywodu autora, by dopiero po jakiejś refleksji zbuntować się przeciw teozm Mackiewicza.

W serii „Z jednorozcem” ukazała się w PiWle słynna książka pisarza japońskiego, nowelisty XX-wiecznego, Agutagawa Ryunosuke p. t. „Kappy”. Jest to utwór satyryczny w formie alegorycznej, z wyraźnym podkładem grotesku, jak gdyby nowa wersja „Podróży Guliwera”. Autor przeciwstawia się w niej zdecydowanie olaczającym go słownikom społecznym, przeraża go zło narastające w wieku XX, walczy z nim, ale silniejsze okazuje się poczucie osamotnienia, wyobcowania społecznego, nasirój pewnej rezygnacji. Przekładu z japońskiego dokonał Mikołaj Melanowicz.

I ostatnia na dzisiaj nowość, tym razem wydana w MONIE, dobrze napisana powieść Hansa Habe'go (autora głośnego u nas „Off limits”) p. t. „Padło więcej niż tysiąc”. Są to udratyzowane, z werwą pisane wspomnienia pisarza z okresu smolonej klęski francuskiej w ostatniej wojnie.

nika Politycznego, brak frapująco napisanych biografii wybitnych myślicieli socjalistycznych, wydajemy sporo książek o krajach dalekich, a bardzo mało o życiu bratnich narodów krajów demokracji ludowej). Brak również koncepcji co do sposobu wydawania książek, wskutek czego np. reportaże ukazują się w większych nakładach niż książki o trwalszym znaczeniu, jak np. „Pamiętnik robotnika”. Jeszcze jeden grzech główny — książki wybitnie aktualne i ze swej natury tracące aktualność, ukazują się u nas niczym przysłowiowa musztarda po obiedzie (tak było z książką „Patria o muerte”).

POCIĄG — STOP

Barbara W. Olszowska i Janusz Rolicki przedstawiają w „Polityce” problem wykorzystania taboru samochodowego do przewozu towarów. Autorzy stwierdzają, że należymy do krajów o bardzo małym udziale transportu samochodowego w połówaniu z koleją (tylko około 8 proc.). Dzieje się tak z powodu rozproszenia taboru samochodowego w poszczególnych fabrykach i zakładach i — co za tym idzie — niepełnego wykorzystania samochodów. Jednocześnie zaś kolej jest przeciążona zadaniami transportowymi.

„Wielkie przewozy na krótkich odległościach to nie tylko przestoje wagonów, trudności z dowozem węgla dla Warszawy czy Łodzi, lecz również podrożeń transportu. Oblicza się, że 20 proc. kosztów transportu samochodowego przypada właśnie na prace przeładunkowe, wykonywane w 70 proc. tradycyjną i opatą.”

Ostatnio przystąpiono do organizowania Przedsiębiorstwa Spedycji Krajowej, do którego zadań będzie należało poza koordynacją przewozów, także zorganizowanie regularnych trasowych linii samochodowych, które uzupełnią koleją, a na pewnych trasach ją zastąpią. Autorzy postulują, by przedsiębiorstwo to objęło pieczę nad całym taborem niezorganizowanym z wyjątkiem pomocniczych samochodów dowożących.

LEKTOR